Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK II NR. 8 (32) WARSZAWA, DNIA 15 LIPCA 1933 R. CENA 50 GR.

Moja odpowiedź Boyowi

— czyli rozmowa z Chochołem

Introdukcja poważna

Gdy rozpocząłem w grudniu 1932 r. na łamach „Zetu" znaną kampanję przeciwko reformatorskiej działalności Boya — mówiło mi wielu: „Poco pan wytacza tak wielkie kolubryny argumentów? Nie zna pan metod i chwytów Boya. On, jak kot, spadnie zawsze na cztery łapy! Nie podejmie walki na intelekty i argumenty, nie rozwinie dyskusji, lecz wynajdzie jakiś trick łatwy i prosty, próbując za jednym zamachem wykpić się sianem".

Prorocze te słowa spełniły się co do joty. Sam widzę teraz, że łudziłem się niepotrzebnie, wierząc, że po tak rozległem, solidnem ujęciu przezemnie przedmiotu, Boy będzie się czuł zobligowany „honorowo" do poważnej i umotywowanej odpowiedzi. Widocznie, mimo tylu ciężkich zarzutów, jakie mu postawiłem, przeceniłem jednak jego walory intelektualne i moralne. Widocznie Boy czuł się zupełnie bezsilny w dziedzinie poruszonych przezemnie problemów i nie miał odwagi skrzyżowania szpady w pojedynku *światopoglądów*, skoro przemilczał wszystko, a nie umiejąc się obronić, wezwał na pomoc przeciwko mnie... mnie samego z przed lat 4-ch.

Że Boy wykorzysta w polemice ze mną ową recenzję z marca 1929 r., to zgóry przewidywałem, gdyż jako autor wrażliwy na sławę i komplementy, musiał przechować ją skrzętnie w szufladzie biurka. Podobnie nie miałem żadnych wątpliwości, co do tego, że będzie on mi insynuował chęć zemsty za złą recenzję. Każdy sądzi podług siebie, a że Boy sam — jak mówią — jest mściwy, więc gotów przypisywać i innym tę brzydką cechę charakteru.

Sądziłem jednakowoż, że będą to tylko zapasowe, podrzędne argumenty, t. zw. „kwiatki", użyte już po wyczerpaniu właściwego przedmiotu dyskusji. Nie przypuszczałem, że oprze on całą swoją obronę na tych dwu — prymitywnych trickach, nie postała mi bowiem w głowie myśl, że Boy, bądźcobądź krytyk, laureat i „mędrzec", będzie tak bezceremonjalnie bezwstydny.

Ot, co poprostu jest!

Uważam tedy za konieczne, odrazu na wstępie, znaleźć jakieś wytłómaczenie dla tego „salto mortale", jakie Boy, linoskoczek popularności, uczynił ponad niezgruntowaną widocznie dlań otchłanią zagadnień i argumentów, zawartych w artykułach zamieszczonych przezemnie w „Zecie". Niechże tłómaczenie to będzie zarazem usprawiedliwieniem Boya przed publicznością, że on, „benjaminek narodu" ucieka się aż do takich marnych chwytów.

A więc:

1) Boy był przez całe życie łowcą taniego oklasku i popularności. Doświadczony uwodziciel tłumu, przekonał się niejednokrotnie, że bezpieczniej jest nie wdawać się w filozoficzne dyskusje, podczas których narodek nudzi się, bo nic nie rozumie: lepiej zawsze apelować do małych sentymentów, a wypuszczać olśniewające race powierzchownych efektów. Dlatego widocznie ograniczył się do obmyślenia jakiegoś jaskrawego tricku, przylepiającego się do płytkich umysłów równie łatwo, jak kalumnja i kalambur.

2) Boy, miał przez całe życie idee fixe „demaskowania obłudy". Weszło to w nałóg, a na nałogu — jak na dobrze osiodłanym koniku — najlżej się jedzie. Dlatego szukając pointe'y i tricku, zatrzymał się na motywie zemsty osobistej. Któż bo zastanowi się głębiej, dlaczego Braun, który przed 4-ma laty pisał tak, teraz pisze inaczej? Rzućmy inwektywę! To każdy zrozumie i każdy zapamięta.

3) Pisze Irzykowski o Boyu: „Redukuje on każdą kwestję do jakiegoś cudownego: *ot, co poprostu jest!* I z tego się ludzie cieszą, bo to zwalnia od myslenia. Jego konfrontacje ideału z rzeczywistością, słów („frazesów"?) z czynami, pobożności z obłudą, marzenia z życiem, wypadają tak, że ten, który czegoś chce, zawsze się trochę kompromituje". Tą samą metodeczką posłużył się Boy w rozgrywce ze mną: Ot, co poprostu jest! Pod całym gmachem założeń ideowych p. Brauna — płaska chęć zemsty. A nie mówiłem wam, ja, Boy — mędrzec, że niema idej, niema uczciwości, niema problemów, niema wzniosłości? Cherchez la femme, szukajcie ukrytych sprężyn! Płeć, zawiść, intryga, szantaż — c'est la vie, panowie i panie!

Tak, w tem jest cały Boy. I to go poniekąd usprawiedliwia. Nie umiał inaczej.

Rehabilitacja „mściwoja".

O mojej rzekomej zemście za złą recenzję przebąkiwał p. Boy-Żeleński już w wywiadzie, ogłoszonym w „Tygodniku Ilustrowanym". Już wtedy uprzedzałem go o bezcelowości takich sztuczek, pisząc w n-rze 24-tym „Zetu" („Komunikat z placu Boya"): „kpię sobie z insynuacyj, że walka moja jest wyładowaniem jakiejś niechęci osobistej do Boya, której wcale nie odczuwam". Wyjaśniałem już wtedy, z właściwą mi słodyczą, że „jestem osobnikiem, którego zupełnie nie dotykają i nie pobudzają emocjonalnie ataki i „krzywdy" osobiste"... Taką już mam naturę, choć wielu twierdzi, że to jest nienormalne; podobnie zresztą nienormalnym wydaje się tym, co mnie znają, mój stosunek do spraw materjalnych: od szeregu lat wszystkie moje pieniądze wkładam w imprezy wydawnicze o charakterze społeczno - literackim, nie uznaję bowiem mojej prywatnej własności, przemieniając ją zawsze na własność ogółu. Boy-psycholog nie zrozumie tego, niestety. Ale cóż, są ludzie i ludziska, i z tą różnorodnością typów ludzkich trzeba się jednak liczyć.

O „Europie" i złej recenzji o niej p. Boya, zapomniałem już dawno. Tempi passati. Odnoszę się do tych wydarzeń z absolutną, lodowatą obojętnością. Wogóle p. Jerzy Braun „jako taki" jest dla mnie postacią najzupełniej abstrakcyjną, od czasu, gdy *jedynym prawdziwym konkretem* stała się dla mnie idea, której służę.

Ale ponieważ to tylko słowa, a autor „Słówek" — w *słowach* wietrzy zawsze obłudę, więc przejdźmy do faktów. Pisał niedawno p. Skiwski, że Boy jest wielbicielem faktu, podam więc *fakt*, który wyjaśni mu rzecz najdosadniej:

Przed siedmiu laty p. Marja Dąbrowska zamieściła w „Głosie Prawdy" recenzję o książce Jerzego Brauna p. t. „Hotel na plaży" nie krytyczną, lecz druzgocącą. W porównaniu z jej wyrażeniami, epitety Boya z recenzji o „Europie" są łagodną i sympatyczną sielanką. Przyznaję się szczerze, że wówczas uczułem się mocno dotknięty, nie miałem bowiem jeszcze na sobie pancerza ochronnego idei, która uczyniła mnie obojętnym w stosunku do samego siebie. Według obliczeń psychologicznych Boya, powinienbym, mając po temu sposobność i własne wydawnictwo, zemścić się na p. Dąbrowskiej straszliwie. A jednak... zaraz w 2-gim numerze „Zetu" ukazuje się recenzja o nowej książce p. Dąbrowskiej *pełna pochwał i entuzjazmu*. Zaznaczam przytem, że w dalszym ciągu nie mam przyjemności znać tej pani osobiście, nic więc nie mogło wpłynąć na zmianę mego stosunku do niej.

To jeden fakt. Podobnych mógłbym przytoczyć kilka, nie chcę jednak się powtarzać i rozwodzić. Raz a dobrze.

Wyjaśnienie to nie znaczy wcale, abym tłómaczył się przed Boyem z moich pobudek, co do tych bowiem odpowiedziałbym raczej słowami p. Skiwskiego: „wypraszam sobie raz na zawsze insynuowanie uwłaczających mi intencyj i wkraczanie w dziedzinę moich pobudek moralnych". Chcę jedynie rozszerzyć nieco horyzont umysłowy Boya i uświadomić mu, że nie wszystko da się wytłómaczyć działaniem brzydkich zakulisowych sprężynek. Świat jest bardziej skomplikowany, niż Boy myśli: są w nim sprawy, motywy i cele, których nie dosięże „mędrca" szkiełko i oko.

Podwójna metamorfoza.

Zapyta jednak p. Boy, a z nim rzesza jego popleczników: Jeżeli tak, to jakież przyczyny cudownej metamorfozy p. Brauna? I słusznie. Skoro już „o to poszło", winienem im wyczerpującą odpowiedź.

Poszło więc przedewszystkiem „o tę troszeczkę" (jak mówi piosenka), że *Boy zmienił się na gorsze, a ja na lepsze.* Dowody? — Są i będą!

A. Więc najpierw ja. — Boy wcale nie odkrył Ameryki. Każdy, kto czytał wydawaną przezemnie przed 6 laty „Gazetę Literacką", wie, że od tego czasu poglądy moje zmieniły się pod wielu względami gruntownie. I nic dziwnego: Dwudziestokilkuletni „młodzieniec" nie mógł jeszcze patrzeć na świat inaczej, jak płytko i powierzchownie. Byłem wtedy tylko poetą i publicystą, chłonącym jaskrawe okruchy rzeczywistości gorączkowo i *bezkrytycznie*, entuzjazmowałem się tem, czem nieraz nie należało się entuzjazmować. Dopiero od kilku lat nauczyłem się *myśleć* kategorjami najwyższemi, kategorjami Dobra i Prawdy. I w świetle mojego nowego światopoglądu wielki Boy skurczył się żałośnie, spłyciał i zmalał.

Tego Brauna nr. 1, którego Boy przeciwstawia mi tak skwapliwie, zbić bardzo łatwo. Ówczesna moja opinja o Boyu łudząco przypomina to, co o nim mówili dotąd ludzie inteligentni i poważni skądinąd, ale nie umiejący zaglądać zagadnieniom *pod podszewkę*. „Boy robi ruch, a ruch to życie. Boy porusza zastałą wodę opinji publicznej. Boy jest potrzebny jak drożdże w cieście". Wszystko to są czcze komunały, ale takiej argumentacji narazie trudno się oprzeć. Boyizm jest niebezpieczny dlatego właśnie, że uwodzi migotliwą łuską pozorów i nieostrożni muszą się na tej skórze wężowej *pośliznąć i upaść.*

Wówczas, w marcu 1929 r nie przychodziło mi jeszcze do głowy, że niekażdy ruch jest życiem — że ruch bakcyli gnilnych też przecież jest ruchem — że i *zło jest ruchem.* — Dopiero dziś mogłem napisać w „Zecie": „Jeśli nawet Boy spełnia tę pożyteczną rolę, to rolę podobną spełnia właśnie *zło*, dzięki któremu dobro widzi przez jaki las przeszkód musi się przedrzeć".

Wówczas, gdy widziałem w Boyu jednego z ludzi „wykonywujących... z niesłabnącą pasją i żywotnością pracę, odpowiadającą ilościowo pracy dziesiątków ludzi", nie zastanawiałem się również nad tem, że w *niszczenie* można wkładać tyleż pasji i pracy, co w budowanie — tembardziej zaś, nie wiedziałem jeszcze, że można niszczyć pod łudzącemi pozorami tworzenia i konstrukcji.

Wówczas, gdy pisałem: „tom za tomem, myśl za myślą" — zbyt pochopnie uważałem za *myśl*, to co nią nie było. Wkrótce później poznałem prawdziwych olbrzymów myśli i skonfrontowałem ich z „myślicielami" w typie Boya. Z poza myśli wyjrzało wówczas zręcznie *kuglarstwo pustki*, która udaje, że ma w sobie wszystko, gdy naprawdę nic nie ma. Stąd też wynikło moje studjum w „Zecie" p. t. „Czy Boy jest mędrcem"?, gdzie poddałem ocenie, systematycznie i po kolei, walory spekulatywne i praktyczne, (a więc filozoficzne i moralne) umysłowości Boya.

(Wreszcie, gdy wyraziłem się o walce z Boyem: „młocka frazesów", pisałem prawdę, to bowiem, co wpadło mi w rękę z tego zakresu, nie zasługiwało na inne określenie. O ile wiem, nie było jeszcze wtedy poważnych, pogłębionych sądów i prac krytycznych o Boyu - Żeleńskim. Co do tego zresztą nie zmieniłem zdania do grudnia 1932 r., skoro pisałem w artykule p. t. „Atakujemy Boya" (w „Zecie"): „Walka z Boyem... była przeważnie dotąd bijatyką, partyzantką, użeraniem się ząb za ząb, wymyślaniem bez argumentów..."

B. A teraz, czy Boy się zmienił? — Niewątpliwie. Gdyby nie to, napewno nie rozpętałaby się przeciwko niemu taka burza właśnie dopiero w latach 1932—33, nie stanęliby przeciw niemu zwartym frontem ludzie ze wszystkich obozów społecznych, wszystkich odcieni, tacy nawet, którzy przedtem byli o nim innego zdania (Przecież sam Boy zarzucał niedawno Miłaszewskiemu i Siedleckiemu, że dawniej pisali o nim inaczej).

Boy zmienił się w sensie negatywnym, Boy „w piętkę goni". Wszystko, z czem się dawniej widocznie ukrywał, wylazło zeń jak szydło z worka. Im dalej brnął w popularność u publiczki, tem niżej staczał się w pogoni za łatwym sukcesem. I wreszcie, gdy od krytyki różnych przesądów obyczajowych przeszedł do bezpośredniej akcji reformatorskiej, do pozytywnego programu społecznego — odsłoniła się ostatecznie cała jego szkodliwość i nicość.

W marcu r. 1929 nie było jeszcze krzykliwych bujd reklamowych w rodzaju sprawy „otrucia Mickiewicza", nie było jeszcze artykułów takich, jak: „Stwórzmy polskie gejsze", nie było jeszcze studjum o „Śmiechu", gdzie Boy nazywa mózg *patologiczną naroślą* i degraduje go na rzecz innych, bardziej mu sympatycznych organów fizjologicznych (a ja go miałem za bohatera myśli, o, niedoświadczony!). Wreszcie nie istniało wówczas jeszcze „Życie świadome", nieszczęsny dodatek do „Wiadomości Lit.", pełen nonsensów i okropności, który pozostanie na zawsze czarną plamą na honorze pisarskim Boya. Dopiero w r. 1932, pod wpływem lektury owego „Życia świadomego" *uświadomiłem sobie* właściwy sens całej tej, niewinnej napozór i poklask zyskującej roboty, tam dopiero przekonałem się, że to co pozowało na obronę moralności, było zwykłą spekulacją na pornografję — że rzekoma „niepodległość ducha" była w rzeczywistości schlebianiem gustom i zapotrzebowaniom publiczki — że to co wyglądało na celową intelektualizację ogółu, było w istocie *celowem barbaryzowaniem* umysłowości. Czyż bowiem na łamach tego „Życia świadomego" poruszono choć jeden z prawdziwie palących problemów epoki? Czy nie wypuszczano raczej „zasłon dymowych", aby zakryć je przed oczyma rzesz czytelniczych? I czy Boy choć raz zaprotestował przeciw rozpasaniu jego popleczników i popleczniczek, przeholowujących w najdzikszy sposób jego reformatorskie zapędy?

Maleńki cytat z „Zetu".

Zarzuca mi jednak Boy, że nie usprawiedliwiłem mojej metamorfozy. Myli się. Nie powoływałem się wprawdzie na moją recenzję w „Kurjerze Porannym", ale pisałem wyraźnie w artykule: „Atakujemy Boya", wyjaśniającym przyczyny kampanji „Zetu", co następuje:

„nie negujemy dużych zasług Boya w literaturze, przedewszystkiem w dziedzinie przekładów, jego niezwykłej pracowitości, nerwu publicystycznego, talentu rozdrażniania, a więc i budzenia ze śpiączki naszej opinji publicznej".

„Ze względu na te zalety należałoby zostawić go w spokoju, gdyby nie istna elefantiasis jego ambicji i jego wpływu, sprawiająca, że to, co mogło być zjawiskiem dodatniem, stało się jakąś anormalną, rakowatą naroślą na polskiem życiu społecznem, kulturalnem i umysłowem. Boy wylał już poza brzegi wartkiej, sympatycznej rzeczułki, rozprzestrzenił się... w zalewy stojącej wody w tysiącach mózgów polskich... W dodatku z biegiem czasu zaczął on się zmieniać na gorsze: stępiał, spłyciał, zmanierował się. Stał się poszukiwaczem skandalów, plotkarzem i anty-intektualistą, schlebiając demagogicznie niskim gustom tłumu" i t. d.

Kochany p. Boyu, czy niema tu wytłómaczenia metamorfozy?

Decydujący przełom.

Ale wszystkie te motywy i przyczyny, podane powyżej, są jeszcze niczem w porównaniu z najważniejszą, która wyrasta z pośród nich, jak wieża stercząca ponad niskiemi, drewnianemi domkami. Przyczyna ta — to *decydujący przełom duchowy, jaki zaszedł w mojej umysłowości i psychice pod wpływem studjów nad doktryną Hoene - Wrońskiego.* Przełom ten zaszedł w r. 1929, a pogłębił się w latach następnych, znajdując wreszcie swój wyraz w całkowitem utożsamieniu mego światopoglądu z prawdami i zasadami tej doktryny. Był to przełom nietylko w poglądach, ale i w życiu. I on to właśnie wykopał taką przepaść między mną a osobnikami w typie Boya.

Choćbym więc uprzednio, przed skrystalizowaniem się we mnie tego nowego, ugruntowanego od podstaw światopoglądu, zajmował stanowisko sprzeczne z moją obecną postawą ideową *w stu wypadkach*, nietylko w tym jednym z Boyem, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia i nie powstrzyma mnie od konsekwentnej realizacji moich planów. Idzie tu bowiem o większą stawkę, niż o fałszywy wstyd i osobistą ambicję („wczoraj mówił tak, a dziś inaczej"...) — idzie o sprawę tak ważną, że w porównaniu z nią, moja skromna osoba jest zaledwie *funkcją matematyczną*, jednym z elementów równania. Dlatego pociski Boyów i Skiwskich, ześlizgną się po mnie, jak po stalowym pancerzu. Nie czuję ich, jestem jak pod zastrzykiem kokainy, jak drewno.

Skrzypki chochoła.

Jeżeli p. Boy - Żeleński jest choć troszeczkę psychologiem, to wiedzieć musi, że gdy następuje t. zw. „otwarcie oczu", gdy się rozczarowujemy co do czyichś zalet i intencyj, gdy w miejsce szacunku i podziwu, zjawia się krytycyzm i pogarda — to rodzi się w nas słuszny gniew, że nas tak długo oszukiwano. Panait Istrati był zajadłym komunistą i piał o Rosji sowieckiej peany pochwalne. Ale gdy tam pojechał i zajrzał pod podszewkę — napisał książkę — akt oskarżenia, książkę pełną pogardy i gniewu.

Niechże się tedy Boy nie cieszy ze swego „odkrycia", przeciwnie, niech pochyli smutno głowę i zamyśli się sam nad sobą. Niech, zamiast oburzać się, że „wszyscy przeciwko niemu", szuka we własnych postępkach wytłómaczenia, dlaczego coraz więcej ludzi intelektu, coraz więcej uczciwych klerków odwraca się dziś od niego.

Aby zaś już nie Boyowi, ale całemu społeczeństwu polskiemu udowodnić, że się nie potrzebuję wstydzić tej omyłki, istotnie tak jaskrawej, powiem to jeszcze, że *miljon ludzi dziś w Polsce myli się tak samo, jak ja myliłem się przed 4-ma laty*, i wszystkim im kiedyś, tak jak mnie, otworzą się oczy.

A dlaczego się tak mylą? — Bo Boy jest mistrzem w maskowaniu się, w kokietowaniu nieostrożnych, w uwodzeniu i przywabianiu. Zachwyty nad Boyem, to czczy efekt powierzchownego zetknięcia się z jego giętkiem, błyskotliwem piórem. Boy otumania czytelnika, przylepia się do niego swojemi łatwemi argumentami. Są ludzie, poważni i rozumni skądinąd, którzy powiadali nam w jakiemś zamroczeniu: Boy — to świętość narodowa! na Boga, nie tykajcie Boya!

Polska uległa czarowi, dziwacznej sugestji, uwodzicielskim tonom *skrzypek chocholowych*. Boy, jak chochoł, usypia umysły, omamia je swojem piórem, a potem każe im się kręcić w kółko w takt swojej ogłupiającej muzyczki. Boy zmienia Polskę w śpiący zaścianek, w jakiś smutny Grajdołek, głuchy na wielkie problemy i walki ideowe, rozgrywające się poza granicami kraju.

(„Ja muzykę zacznę sam, tęgo gram, tęgo gram...")

Oto dlaczego i ja uległem niegdyś oszukańczemu czarowi Boya.

O „Ludziach żywych".

I jeszcze jeden maleńki dodatek, może już niepotrzebny: książka Boya p. t. „Ludzie żywi" (jedna z dwu lub trzech conajwyżej prac oryginalnych Boya, jakie wówczas znałem), podobała mi się naprawdę; cóż dziwnego, że recenzja moja o niej wypadła tak pochlebnie, skoro pisałem jeszcze teraz, w lutym 1933 r. w artykule p. t. „Klerk-zdrajca!": *„Najlepszą może książeczką Boya jest zbiór artykułów p. t. „Ludzie żywi", specjalnie jeden z nich, będący przedmową do wydawnictwa dzieł Mickiewicza"*. Gdybym był natrafił wówczas nie na tę książkę, lecz na którąś z późniejszych, sąd mój — nawet bez zmiany światopoglądu — byłby może wypadł nieco inaczej.

„Boy miał zupełną słuszność — pisałem, znowu w art. „Boy - pogromca Wyspiańskiego" w n-rze 17-tym „Zetu" — stwierdzając, że nasi t. zw. wieszczowie, zostali „zabronzowani" w sposób kłamliwy, powierzchowny i karygodny przez historyków literatury". Tylko, że... oczekiwałem niegdyś, że zapowiedziana akcja odbronzywania pójdzie po innej linji, w kierunku powiększania a nie *pomniejszania genjuszów.* Boy zawiódł mnie i pod tym względem. Zamiast wyłuskać z papierowych mumji żywego, twórczego ducha — zaczął on wszędzie odkrywać *zwierzę w człowieku*. Więc znowuż „srodze ja oszukany" — Boy do Sasa, a ja do Lasa.

Finale allegro.

Z pomniejszemi chwytami Boya rozprawiam się krótko:

1) Nieprawdą jest, że Braun zobaczył „że trafił na złotą żyłę — i rozszerzył ten dział anti-boyowy" w „Zecie" — prawdą jest natomiast, że zapowiedziałem *odrazu cykl artykułów o Boyu*, obiecując zanalizować wszechstronnie i systematycznie wszystkie jego walory umysłowe i wszystkie strony jego działalności. Gdy zaś widziałem, że rzecz rozwleka się zbyt długo, zredukowałem rozmiary zamierzonego cyklu, przerywając kampanję.

2) Śmiesznie i nieprawdopodobnie brzmi insynuacja Boya, że prowadzimy kampanję przeciw niemu dlatego, bo dzięki niej „pisemko nasze utrzymuje się na powierzchni". Pomijam już samochwalstwo, tkwiące w tak wysokiem mniemaniu o sławie swego nazwiska, gdyż Boy rzeczywiście jest głośny. Ale przecież Boy czytał zapowiedź naszą, że podejmiemy walkę z *szeregiem* fałszywych, zabronzowanych wielkości (a więc nietylko z nim, ale i z innymi). Czyż nie podjęliśmy kampanji w

(Dokończenie na str. 2-ej).

Język i styl Norwida

(Uwagi o Norwidzie — V)

I.

Ludzie, którzy z łatwością czytają Mickiewicza, Krasińskiego, a nawet Słowackiego, skarżą się, że Norwid jest „trudny". Niezrozumialstwo, rebusowość stylu zarzucano mu zawsze, jeszcze za życia; były one jedną z walnych przyczyn niepopularności poezji norwidowej w społeczeństwie polskiem, które otaczało wielkiego samotnika coraz wyższym murem obojętności, aż wreszcie pogrzebało go w zupełnem zapomnieniu. (Refleksem tej tragedji Norwida jest niewątpliwie scena zamurowania żywcem Zwolona — w dramacie „Zwolon"). Że nierozumieli go nawet najbliżsi przyjaciele, a między nimi twórcy wysokiej miary, dowodzi fakt zerwania stosunków z Krasińskim, właśnie na tle ustawicznego wytykania Norwidowi przez Krasińskiego tej zawiłości stylu.

I dziś jeszcze wczytywanie się w utwory poety, wymaga poważnego wysiłku myślowego i czujnego napięcia uwagi, choć do t. zw. „niezrozumialstwa" w poezji współczesnej, zdążyliśmy się przyzwyczaić. Czem tedy wytłomaczyć tę cechę stylu norwidowego, niepozwalającego książkom jego „zbłądzić pod strzechy"?

Sądzę, że przyczyn tych jest kilka: Naprzód rozbieżność pomiędzy norwidowem pojmowaniem poezji i roli poety ,a poglądem potocznym. Szukanie w wierszach łatwych wrażeń i mgiełkowych uniesień estetycznych, było mu wstrętne; uważał on, że poezja winna w każdym swoim okruchu, ogniskować i rozżarzać cały płomień twórczej rzeczywistości wszechświata, chwytać ów niewysłowny Absolut i osadzać go w sobie, jak kryształ. A tu tymczasem płytka i powierzchowna epoka nauczyła się czytać sposobem gazetowym, zaledwie muskając wzrokiem litery i skacząc z wiersza na wiersz bez skupienia uwagi na słowie dłużej niż przez ułamek sekundy (wiemy i dziś coś o tem). Dlatego to Norwid pisał:

Syn minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku
Co znika dzisiaj (iż czytane pędem)
Za panowania Pantheizmu — druku,
Pod ołowianej litery urzędem...

(Z wiersza „Klaskaniem mając").

Przyczyną drugą jest swoista budowa zdania i charakterystyczne dla Norwida przekształcanie i archaizowanie wyrazów: i tu niewątpliwie napotyka czytelnik na trudność, nie ze swej winy. Ale do tych oryginalnych właściwości stylu norwidowego, można się prędko przyzwyczaić, znajdując w nich potem pewien niewytłomaczalny, a dziwnie głęboki urok.

Przyczyną trzecią „zawiłości i ciemności" utworów Norwida, jest miąższość i otchłanność myśli w nich zawartych, każdy jego wiersz jest bowiem wypełniony po brzegi głęboką refleksją spekulatywną, poprostu nabity treścią, jak owoc, pękający od nadmiaru soków. I to już nie jest winą autora, lecz czytelnika, tak jak pierwsze było winą epoki, odzwyczajającej od wnikliwego czytania. Każdy ton, aby znaleźć rezonans, musi natrafić na podobnie napiętą strunę. Jeśli kto nie rozumie idei utworów Norwida, jeśli boryka się napróżno z wyłaniającemi się z poza każdego słowa i zdania— myślami, allegorjami i zdobyczami pojęciowemi, dowodzi tylko, że atmosfera norwidowego świata pojęć jest zbyt wyżynna dla jego **umysłu.**

Jest jeszcze jedna cecha tego stylu, sprawiająca, że wierszy Norwida nie można wchłaniać biernie, receptywnie, bez współtwórczej czynności rozumu: cechą tą są *przemilczenia*. Norwid uważał milczenie za najważniejszy element mowy, za siłę podkreślającą, pobudzającą i stanowiącą olbrzymie tło, na którem dopiero uwydatnić się mogą inne jej elementy. Przeciwnik jaskrawości i wielomówności wiersza, tłumił on zawsze wszystkie zbyt hałaśliwe efekty, modulował i przyciszał muzykę słowa, krył treść we fałdy strof ,jak w spokojnie udrapowaną chlamidę posągów antycznych. Wydobyć tę treść, wyłuskać z dyskretnej łupiny przemilczeń, odbudować przez powiązanie i uszeregowanie poszczególnych, pozornie odosobnionych myśli, można tylko przez *współtworzenie*, przez pracę myśli równie intenzywną i czujną, jak była nią myśl autora w momencie aktu twórczego.

I tu dochodzimy nareszcie do najrealniejszej przyczyny owego „niezrozumialstwa", tej, poprzez którą tłómaczą się wszystkie inne, i która stanowi prawdziwą podstawę metafizyczną trudnego stylu Norwida. W utworach tego poety znajduje mianowicie swój konkretny wyraz owo *myślenie transcendentalne*, o którem mówiłem, jako o charakterystycznem dla świadomości refleksyjnej. Aby dobrze wyjaśnić o co tu chodzi, zrobię następującą, może nazbyt śmiałą, analogję: w kształtowaniu wszechświata przez rozum stwórczy Boga, wszystko ma swój sens i swoją transcendentalną celowość tylko w odniesieniu do *jednej idei naczelnej*, do tego niewysłownego Arcy-absolutu, który jest pełnią bytu i wiedzy w samym Bogu. Idea ta trwa wieczyście, jako wewnętrzny motyw całego procesu stwarzania, a więc jako jedyna prawdziwa przyczyna i jedyny cel, dla którego się to wszystko odbywa. A przecież idea ta nie manifestuje się nigdzie na zewnątrz, ukrywa się zawsze na dnie, jest przemilczana. Widzimy tylko rezultat jej pracy, jako nieskończoną mnogość przedmiotów, kształtów i zjawisk, które pozornie mają swój byt osobny i samoistny, w istocie zaś mają sens tylko w związku z tem pierwotnem ich źródłem.

Otóż, podobnie w umyśle człowieka-twórcy, zdolnego do myślenia transcendentalnego, trwa ustawicznie, poza wszystkiemi jego czynnościami zewnętrznemi, jedna jedyna, najwewnętrzniejsza dlań idea, jeden najwyższy *ogląd rzeczywistości*, pod który podciąga on wciąż płynną wielość zjawisk i który stanowi nieruchomy ośrodek mgławicy jego twórczych poczynań. Każdy wiersz, każde zdanie, każda allegorja i parabola, użyta przez Norwida, zaczepione są u tej jednej kardynalnej idei, nabierają znaczenia dopiero w jej świetle. Z najdrobniejszego, błahego napozór zdarzenia, opisywanego w swym utworze, z każdego przedmiotu, spostrzeżenia i przypadkowego zjawiska, dochodzi on momentalnie, poprzez szybkie skojarzenia — aż do niej: z każdego okruchu rzeczywistości wysnuwa odrazu jak z rozwikłanego kokona, transcendentalną nić Absolutu. Niema ani jednej frazy, ani jednej strofy norwidowej, którąby dotyczyła tylko jakiegoś poszczególnego faktu czy przedmiotu; służą one zawsze za pretekst do ustawicznej, olbrzymiej paraboli pomiędzy ziemią a niebem, paraboli, którą jest cała twórczość tego poety.

Kto traci z oczu tę stale obecną, a przemilczaną *ideę naczelną*, błąkał się będzie w utworach Norwida jak w labiryncie bez kłębka Arjadny. A będzie ją tracił koniecznie ten, kto sam nie ma zdolności myślenia transcendentalnego, kto nie dopracował się świadomości refleksyjnej *w samym sobie*, kto pozostaje jeszcze wciąż w w sferze jednostronnej świadomości poznawczej i uczuciowej. Tu oto znajduje się klucz do zrozumienia prawdziwej przyczyny „niezrozumialstwa" Norwida.

II.

Lapidarność wierszy Norwida ma w sobie coś z klasycznego, spiżowego monumentalizmu i coś z nowoczesnej ścisłości i rzeczowości naukowej. Norwid dąży do tego, by każdą myśl i ideę zamknąć w kształt poetycki, jednolity i zakończony. Nieskończoność ma płynąć pod spodem, jako nurt ukryty, a nieobjęty niczem prócz milczenia; na zewnątrz, to co należy do formy a nie do treści, niechaj ma w sobie doskonałość *dopełnienia*, taką, której już nic ująć i nic dodać. W formie nie uznaje on płynności, rozlewności, wichrowatości romantycznej.

Stąd może pochodzi to charakterystyczne dlań połączenie miarowej, celebralnej archaiczności z suchością nowoczesną słownictwa nieomal naukowego, połączenie, które na pierwszy rzut oka robi niekiedy jakieś cudaczne wrażenie (wiadomo, że Norwid chętnie używał w wierszach zupełnie prozaicznych terminów, takich, jak: ekscentryczny, inicjatywa, interes, praktyczność, sukces, magnetyzm, realizm, socjalizm i t. p.). Świadczy to jednak tylko, jak bardzo unikał on bombastycznej koturnowości, odgradzającej poezję od życia, a umiał przytem zachować peryklejską miarę harmonji i powagi w wierszu; świadczy też o śmiałości, z jaką wprowadzał do poezji polskiej nowe elementy treści i formy, nową tematykę i słownictwo, o ileż bogatsze i nowocześniejsze, niż to, co stworzyli w zakresie stylu wcześniejsi odeń poeci romantyczni, Krasiński, Mickiewicz i Słowacki.

III.

Rozdarty pomiędzy dwie elementarne postawy ducha ludzkiego i osiągający zarazem wszędzie ich harmonję, Norwid wzniósł do wyżynnej podniosłości Pathos, nie zapominając jednocześnie o gorzkiej przyprawie Ironji. Jego apologja ironji, jako koniecznego współczynnika dziejów i jednego z ważnych elementów sztuki, zamieszczona w poemacie „Rzecz o wolności słowa", zawiera niezrównane wprost i jedyne w swoim rodzaju refleksje; z tą samą żarliwością, z jaką broni ironji, oskarża tam poeta rzecz najwstrętniejszą: „fałszywe serio".

Czy takie *serio*, które od wiek wieka
Zjada sobie na zimno genjalnego człeka,
A potem go utuczy mową pogrzebową
I postawi mu grubą figurę bronzową,
Na której ptak wypocznie i bluszcz pójdzie do niej,
Czy *serio* takie wiele czulsze od Ironji...?

A w wierszu p. t. „Ironja" pisze:

Żeby to można arcydzieło
Dłutem wyprowadzić z grubych brył
I żeby dłuto nie zgrzytnęło,
Ni młot je ustawnie bił a bił!..

Żeby to tchem samym harmonji
Można było kręcić wozów oś,
I bez skrzypnięcia wstecz ironii
Żeby się udało zrobić coś...

Współrzędność tragizmu i komizmu estetycznego, jest tedy u Norwida nie tylko respektowana i stosowana samorzutnie w utworach poetyckich, ale i uzasadniona rozumowo w jego teorji sztuki.

IV.

Z jaką maestrją posługiwał się Norwid swojem narzędziem poetyckiem, jak panował nad słowem, nad figurami stylu, nad tokiem wiersza, jaką oszczędność i rozrzutność zarazem stosował w celowej krystalizacji idei utworu w formę dopełnioną, trudno zaiste pokazać bez cytatów; a nawet one nie wystarczą tutaj, bo Norwida trzebaby cytować całemi ustępami, poemat po poemacie, wiersz po wierszu.

Chcąc unaocznić prostotę i wyrazistość środków artystycznych, jakich używał, aby zespolić wielowarstwową głębię myśli z lapidarnością kształtu, — zacytuję tu parę ustępów, które wydają mi się być szczególnie charakterystycznemi dla jego stylu *):

A w tem, coś grał — i co *zmówił* ton — i co powie,
Choć inaczej się *echa ustroją*,
Niż gdy *błogosławiłeś* sam ręką swoją
Wszelkiemu akordowi...
(Z wiersza „Fortepian Szopena")

Kiedy się ludów *obłok za obłokiem*
Zsuwał po *biodrach gór* — a tajemnica
Była ich wiedzą, i sercem, i okiem
Uragan władzą, z groźnym knutem swym.
Dzieje, jak *szczenna na zlężeniu lwica:*
Któż się *czuł jeden?* — Rzym.
(Z wiersza „Do władcy Rzymu").

Gdzie *ton i miara* równe są przedmiotowi,
Gdzie przedmiot się *harmonją dostraja;*
Tam jest i pieśń i rym — jak, kto je powie,
Tam *z-siedmia się brzmienie* i tam się *z-traja*
I *spadkuje się samo* ku końcowi.
(Z wiersza „Kolebka pieśni").

Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce *złamawszy na pancerz,*
Przy pochodniach, co *skrami grają* około twych kolan—?
Miecz wawrzynem zielony i *gromnic płakaniem* dziś polan,
Rwie się sokół i koń twój *podrywa stopę jak tancerz.*
(Z wiersza „Bema pamięci rapsod żałobny").

V.

Klasyczna monumentalność, rzekłbym: *pomnikowość* wiersza norwidowego, polega na ekonomji środków, na wyeliminowaniu wszelkich zbędnych efektów, na dostojeństwie umiaru, na zwięzłości posuniętej niemal do skąpstwa — przez zastosowanie niezwykłych skrótów myślowych, wreszcie na spokojnym patosie Prawdy i poczucia dziejowego, tchnącym z każdej strofy. Ale są jeszcze dwie przyczyny, natury czysto formalnej, które potęgują to wrażenie marmurowej naoczności jego utworów, a mianowicie *element malarski i rzeźbiarski*, których sile i natężeniu nie dorówna może nic w całej literaturze świata.

Norwid sam malował, rysował i rzeźbił, co stanowiło dla jego wyobraźni poetyckiej z pewnością nieocenioną szkołę widzialności i plastyczności formy. Oczywiście jednak ku tym dziedzinom sztuki skierowało go wolne, samorzutne upodobanie do krystalicznie przejrzystego oglądu wzrokowego, zawarte w jego rozumie twórczym już a priori.

Wszelka amorficzna mgławicowość i nieokreślność była mu obcą i nieznośną. Myślał bryłami, kolorami i linjami; tchnąc idee w stroficzną, wiązaną mowę wiersza, odrazu obudowywał je kształtami, geometryzował i uwypuklał. Tak jak wyolbrzymione poczucie czasu, umieszczało go w *wieczności*, w punkcie obserwacyjnym, z którego teraźniejszość zlewała się z przeszłością i przyszłością, napełniona po brzegi tokiem dziejów, tak i równie intenzywne poczucie przestrzeni, zaludniało ją z czarodziejską łatwością przebogatą różnorodnością form, ujmowało w głębokich perspektywach, gięło w łuki, podpierało na strzelistych kolumnach, rozświecało tęczą niezwykle soczystych i przezroczystych kolorów.

Sprawność rzeźbiarską jego wiersza charakteryzuje doskonale wiersz p. t. „Adam Kraft", gdzie autor tak opisuje ołtarz Najśw. Sakramentu, dzieło tego rzeźbiarza, przyrównując je do jego przedśmiertnej modlitwy (ołtarz wspierał się na barkach mistrza i jego uczniów):

Z twoich to ramion latoroślą wzbity,
Zaowocował w grona świętych twarzy,
Nie jako rzeźba, lecz jak hymn Lewity,
Wylany z duszy...

A oto Norwid — malarz w słowie:

Ten ruch,—CZERWONA maku błyskawica
Poniesionego do skroni, te kwiaty
Chabru, te k'sobie pochylone lica —
Zniepokoiły chwilowo bławaty,
I stał się wonny powiew FIJOŁKOWY,
Który z purpury a niebios powstawa...
(Z wiersza „Wędrowny sztukmistrz").

Trudno znaleźć w dzisiejszej poezji, tak się chlubiącej mistrzostwem formalnem, ustępy wyrazistsze, jak te oto:

...byłem w Neptuno, gdzie łaźnie Nerona
Wypłukuje z wiszarów fala zapieniona,
Bijąc w takt nieustannie, i z wielkim spokojem
Obłamuje mozajki, i ciska, jak swojem
Różnobarwnemi głazy — i ciągle je ślini
Pianą — i zaokrągla, i równemi czyni...
I jak kulami rzuca...
(Z poematu „O wolności słowa").

Albo to:

Błogosławiona jest gorycz wiośniana,
Wśród pękających drzew rozpowietrzniana,
Drzew, co od ziemi, jak kolumny rosną,
Gdy w niebie miękkich gałęzi obręcze
Podobne mają do harf strojnych wiosną...
(Z wiersza „Próby").

VI.

Poprzez wszystkie te uroki i narzędzia artystyczne poezji norwidowej, poprzez jej rytm, barwę, plastykę, zwięzłość i dojrzałość architektoniczną, poprzez bogactwo przenośni, symboliki i problematyki myślowej, poprzez jej pełnię optyczną, wzniosłość dziejową i heroizm moralny — promieniuje zawsze ta sama niewysłowna idea i rzeczywistość transcendentna, utożsamiająca w sobie Prawdę, Dobro i Piękno, obleczona w marmur a wieczyście żywa, przemilczana a wszechobecna. Choćby teraz odejmować po kolei wszystkie te elementy twórczości Norwida, choćby posiekać go na okruchy, wyjmować zeń poszczególne strofy, fragmenty — zawsze ta idea, jak lampa, prześwietlać będzie poprzez formę — nieśmiertelna.

A teraz lampę we wnątrz stawiam urny.
Statuę grecką weź — zrąb jej ramiona —
Nos — głowę — nogi opięte w koturny
I ledwo torsu grubą zostaw bryłę;
Jeszcze za żywych stu uduchowniona,
Jeszcze to nie głaz ślepy! — jedną żyłę
Pozostaw, wskrzesi!...
(Z „Dialogu o sztuce").

Ku niej to, ku temu ideałowi dziejów, ku wytęsknionej i pracą stuleci wymadlanej przez ludzkość rzeczywistości absolutnej, śpieszy poeta, w wierszu „Epos nasza", jak Don Kichot „oswabadzając księżniczkę zaklętą"...

...a my — kawalery błędne
Bez giermków, z wstęgą na piersi czerwoną,
Przez mokre lasy, przez lasy żołędne
Ciągniemy *przędzę* zdala zaczepioną...

Srebrna nić Absolutu urzeka swojem migotaniem poprzez wszystkie obrazy, zdarzenia, zjawiska i myśli tych utworów. Gdzież jej koniec, ku czemu dosnuje ją wreszcie myśl i twórcza miłość człowieka?...

...ptaki często mi śpiewały,
Że już zbudzona i odczarowana
Pomiędzy smoki wychodzi z wieżyce,
Że lampę trzyma w ręku, a potwory,
Niemogąc światła znieść, w ziemię się ryją,
Skrzydłami w ciasne łopocą piwnice
I klną, i gardła rozdzierają... wyją...

Ale cóż, do tej mety daleka jeszcze droga. Poeta wie to i z rezygnacją przyjmuje na siebie jarzmo dziejów. Bo:

...prawda jedynie wystarczy
Nam, co za prawdą gonim, Don Kichotom,
Przeciwko smokom, jadom, kulom, grotom!
(Z wiersza „Epos nasza").

VII.

Styl norwidowy wyrasta więc z wewnętrznego związku jego twórczości ze Słowem, ukrzyżowanem na krzyżu dziejów i łączącem ukrytą nicią *człowieka z Bogiem*. Tam, w samej istocie rzeczywistości, skąd bije źródło samorzutności ducha, trwa wieczyście i przypomina o sobie w ciągu długiej pielgrzymki dziejów, ta niewysłowna idea: Bóg-Człowiek.

W poemacie „Rzecz o wolności słowa" dociera Norwid aż do jądra tego problemu, ukazując jak w języku *myśl* staje się ciałem, jak w myśl krystalizuje się *duch* i jak z ducha wylewa się utajona w nim pełnia boskości i człowieczeństwa: *Słowo.*

Jakiż jest bowiem Słowa cel i arcydzieło,
Jeśli nie to: by ludzkość wszelaką przyjęło,
A dotrzymało Boskość...

W tych trzech wierszach świadomość transcendentalna Norwida wzbiła się może najwyżej ku słońcu rzeczywistości absolutnej. I stąd świeci ku nam jak gwiazda, wskazując drogę rozwoju *polskiej sztuce.*

Jerzy Braun.

---

*) Podkreślenia moje.

Moja odpowiedź Boyowi

(Dokończenie)

sprawie Miriama? I czy nie przypuszcza on, że po nim, mamy jeszcze inne figury na liście? Czy wreszcie nie sądzi on przypadkiem, że gdyby chodziło o poczytność, moglibyśmy poprostu obniżyć poziom intelektualny „Zetu" i drukować nieco mniej „trudnych" filozoficznych artykułów? Ale nie uczynimy tego. „Zet" — to nie „Wiadomości Literackie" — my nie inscenizujemy bujd reklamowych i pikanteryj seksualnych, dla celów handlowych.

3) Boy myli się, jeśli sądzi, że wymyślanie mi od „mikrobów" i „pętających się u nóg grafomanów" zrobi mi jakąkolwiek przykrość. Boyowi nic nie pomoże, że sto tysięcy ludzi myśli, że on jest wielki, odwrotnie zaś, mnie to nic nie szkodzi, że Boy mówi o mnie: „mały". Historja robi z gór zwykłe ziarenka piasku, a z „mikrobów" góry. Taki już ma zwyczaj ta pani, — niechaj więc ona to rozstrzygnie.

Uważam tylko, że niezręcznie jest robić z przeciwnika nieszkodliwe maleństwo, a potem z wysokości swoich 150 tomów — machać nad niem groźnie maczugą. O wiele trafniej... i szlachetniej jest uznać go za objekt duży, ba, *nawet za problem* — tak jak ja uczyniłem — i wtedy dopiero pójść na tego Goljata z małym kamykiem w procy.

Jerzy Braun.

ALEKSANDER BŁOK

* * *

Wstaje z za traw wysokich księżyc
czerwoną tarczą wojownika.
Muzyka bujną falą cięży,
w ocean łun i zórz przenika.

W godzinie brzmiącej tryumfalnie
dlaczego, smyczku mój, się gniewasz
i we wszechświata śpiew nachalnie
swoją pośpieszną piosnkę wlewasz?

U traw wysokich ucz się słuchu,
rozpłyń się w morzach zórz bez celu,
do kraju skrzypiec, kraju duchów
śląc głos przeciągły, przyjacielu...

Spolszczył H. Zaslawski.

* * *

Przystań milcząca. I ziemia tuż.
Ziemi nie widać. Noc głucha już.

Stoję na deskach w wilgotnej mgle.
Ze śmiechem burza włos siwy rwie.

I słyszę — jakbym wołał raz wraz —
„Na morzu świecę stawcie na głaz...".

Gdy łódź mej żony wryje się w piach
radość zbawienia odpędzi strach.

Ponuro. Groźnie. I brzeg w mgłach znikł.
Prze fala, śle fala siwych pian syk.

Ona daleko. Któż powie, któż..
Kto się odezwie z przeklętych mórz...

„Tam stawcie świecę. Tam — wdali — głaz...".
Sam nie wiem — Ja to wołam raz wraz...

Tłom. J. Czechowicz.

MAKSYMILJAN WOŁOSZYN

* * *

Być ziemią: leżeć z piersią odkrytą nawznak,
oślepnąć od płomieni błyszczącego Oka
i czuć, jak ostry pług, zarywszy się głęboko
w czujące żywe ciało — znaczy czarny szlak.

Pod sinym nieba stropem, pod szarych chmur zwałem
przez wszystkie ran otwory lać strumienie wód,
być ziemią rozoraną i czekać na cud,
aż wejdzie we mnie Słowo i stanie się Ciałem.

Być Matką-Ziemią świętą. Słyszeć pszenny łan,
wielbiący tajemnicę posiewów i zbiorów,
i widzieć ponad sobą diamentowy tan
w przepaści nieba mknących cicho gwiazdozbiorów.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

Szczyty poezji rosyjskiej

(Lermontow — Fiet — Błok — Jesienin — Majakowskij)

Poezja to świat górski, gdzie bliżej gwiazd i słońca, skąd wzrok obejmuje horyzonty oczom mieszkańców padołu niedosiężne. Powietrze tam rzeźkie i czyste, a kto się w niem skąpie, nierad wraca na niziny. I nawet dzisiejszy poeta społeczny, pozbawiony wszelkich koturnów, niwelujący w tłumie swą odrębność i roztapiający się w gromadzie, której ideałów jest wyrazicielem, wystrzela przecież wysoko ponad codzienną powszedniość już choćby przez to, że on, a nie kto inny potrzeb tej gromady staje się piewcą, że on tylko w niezawodnej poetyckiej syntezie zdolny jest trafny przekrój współczesności uczynić.

Rzućmy okiem na rozciągające się na przestrzeni stulecia pasmo wysokogórskie poezji rosyjskiej. Wśród wielu niebotyków wyróżnijmy kilka.

„Nocowała złota chmurka w gorze Na olbrzymie—granitowym szczycie. A zbudziwszy ze snu się o świcie, Wdal pomknęła żwawo po lazurze. Lecz pozostał po niej ślad wilgotny W zmarszczce szczytu sędziwego; oko Zamyślone w niebo wbił głęboko I cichutko roni łzy samotny". Ten „Ucios" olbrzymi, wyniesiony ponad ziemskie rozdoły, obcy zda się cierpieniom ludzi i obojętny na wszystkie ich sprawy, a jednocześnie cicho roniący łzy w swej samotności w tęsknocie za chmurką, która na chwilę przerwała jego izolację — to wierny obraz duszy poety. *Michał Lermontow* właśnie, odczuwający cały blichtr życia wielkomiejskiego i banalność środowiska, w jakiem musiał się obracać, on. który ze smutkiem patrzał na współczesnych o „przyszłości pustej lub ciemnej", on, który pragnął „zmącić ich wesołość" i „zuchwale w oczy im żelazny cisnąć wiersz, goryczą zlany słów i złością", — szczególniej musiał swe osamotnienie odczuwać. Oficer o niepowściągliwym języku, ściągającym na poetę represje władz,— kochający ojczyznę „dziwną miłością", jakżeż daleką od imperjalistycznych zapędów urzędowych patrjotów. Nieszczęsny „Prorok", co „spojrzawszy bacznie w bliźnich oczy, odczyta każdy grzech człowieczy", smagany za to szyderstwem tych, którym głosił miłość. „Patrzcie, to przykład dla was, dzieci! Jego uwiodła pycha pusta. Chciał, głupiec, wmówić w nas — czy wiecie, że Bóg przez jego mówi usta. Patrzcie na jego dolę twardą, Jaki jest chmurny, nędzny, blady, Jak go znać nie chce nikt z gromady, Jak każdy smaga go pogardą"! Stąd krańcowy pesymizm Lermontowa. Stąd takie przejmujące wiersze, jak ten oto ustęp z utworu „I nuda i smutek": ...„życie — zrozumiesz, gdy spojrzysz z uwagą dokoła, to tylko żart głupi i pusty", lub rozpaczliwe w swym okrutnym sarkazmie „Podziękowanie": „Za wszystko, Boże, ci stokrotne dzięki: Za męki serca, których nikt nie słucha, Za gorycz łez i za trujące wdzięki, Za zemstę wroga i za potwarz druha. Za wszystko, w czem mnie oszukało życie, Za ogień duszy, dzisiaj już w popiele, Spraw tylko jedno, o Panie w błękicie, Abym dziękować mógł już dni niewiele". W takich chwilach tylko przyroda godzi Lermontowa z życiem. W jej pierwotnem, nieskażonem przez człowieka pięknie, odradza się dusza poety, przez nią zbliża się on do absolutu — do Boga. Natura koi rany duchowe i wlewa do serca balsam spokoju. Ślicznie myśl tę wyraził Lermontow w jednym z najpiękniejszych swych wierszy: „Gdy lekki ozesze wiatr żółknące włosy niwy": „Ach, wtedy pierzcha gdzieś niepokój mój i trwoga, I rozpogadza się zmarszczona troską skroń, I szczęście ziemskie już wyciąga do mnie dłoń, I widzę tam w niebiosach Boga". Ale najbardziej ukochał Lermontow dziki Kaukaz, którego piękno oddał w „Demonie" i innych poematach oraz w powieści „Bobater współczesny". Nawet w proroczym „Śnie", któremu sądzone było tak rychło się spełnić, widzi swe zwłoki u podnóża umiłowanych wierchów: „W południe skwar w dolinie Dagestanu, Leżałem — trup — w obliczu zimnych gór. Głęboka wciąż dymiła jeszcze rana, I z piersi krwi się sączył lepki sznur". Nierozsądny pojedynek, w który wplątał się 27-letni poeta z przedziwną wiernością zmaterjalizował tę poetycką wizję.

„Powyżej chmur, rzuciwszy góry, Pod sobą depcząc lasu zrąb, Ty śmiertelnika wzrok ponury Na siną nieba wołasz głąb" — mówi o poecie *Atanazy Fiet*. Ten nie próbował nawet nigdy jak Lermontow zejść ze szczytu do ludzi: „Twym losem — na krawędzi świata nie schodzić wdół, lecz ciągnąć wwyż". Autor „Ogni wieczornych", piewca najprzeróżniejszych nastrojów, najrozliczniejszych tematów, w których miłość i natura we wszystkich porach roku główną odgrywają rolę, głęboki myśliciel, stwierdzający, że „w cierpieniu tli się radość", pisarz o umyśle wybitnie refleksyjnym, — z rezygnacją kończący radosny wiersz o wiośnie, taką pełną przepięknej prostoty myślą: „Umilkniemy, jak wśród bzów Chóry ptasie, Wtedy przyjdą śpiewać znów Dzieci nasze. A po dzieciach wzniosą śpiew Znów wnukowie I to samo wiosny wiew Im opowie" — to jeden z najciekawszych poetów rosyjskich. 72-letni starzec, o ile można do niego to określenie zastosować, do śmierci zachował dar twórczy. W ósmym dziesiątku życia pisał tchnące świeżością erotyki, którychby mu pozazdrościł niejeden młodzieńczy Gustaw. Na wiele lat przed futuryzmem odkrył, że piękno jest wszędzie i zadaniem poety jest właśnie otworzyć ludziom na nie oczy: „Pszczoła jedynie poznaje miód, co się w kwiatach ukrywa, Tylko artysta potrafi we wszystkiem piękna czuć ślad". Wiersze Fieta odznaczają się niezwykłą melodyjnością. Niektóre z nich pod tym względem, to prawdziwe arcydzieła, jak naprzykład ten słynny majstersztyk: „Szept. Nieśmiałych westchnień szmery I słowiczy trel, Potok srebra z atmosfery Na ruczaju biel,—Światło nocne, nocne cienie, Cieni niema straż; Czarnoksięskie przemienienie: Ukochanej twarz. W lotnych mgiełkach róż zakrzepły I bursztynu blask, I pieszczoty, i łzy ciepłe, I już brzask!"

„O, Chryste! Smutek pól mych piję, Uśmierca zwolna krzyża słup. I łódź twa, łódź twa, czy przybije Do mych rozpiętych wgórze stóp?"—modli się w „Miłości jesiennej" najgenjalniejszy symbolista rosyjski *Aleksander Błok*. Najczystszy to liryk, opiewający najpierw „Przecudną Damę" — romantyczny ideał miłości poety, w „Carmenie" oddający upały namiętności zmysłowej, by w „Jambach" i „Ojczyźnie" przejść do zagadnień społecznych, a w słynnych poematach „Dwunastu" i „Scytowie" dać niedościgniony, swoistym mesjanizmem przesiąknięty wyraz rewolucji rosyjskiej. Poeta przerzuca się od nastroju do nastroju, umie zarówno oddać melancholję jesieni, jak i surowe piękno śnieżnej zimy rosyjskiej, żar południowej miłości i romantyczne zachwyty dla kobiety, mistyczne ukochanie ziemi ojczystej i wiarę w jej posłannictwo. Mało który poeta posiada równą Błokowi zdolność poruszenia duszy zapomocą odpowiednich symbolów i otworzenia przed nią zawrotnych horyzontów na t a m t ą stronę. Ta umiejętność owiania czytelnika tchnieniem zaświatów, które odczuwamy, czytając niektóre utwory Błoka, każe go nam umieścić obok największych poetów, nietylko rosyjskich, ale wogóle europejskich. Jak to osiąga nieraz zapomocą najprostszych środków ekspresji, zaświadczy wiersz „Samotny siedzisz w swym pokoju", ten niesamowity poetycki bilans życia: „Samotny siedzisz w swym pokoju. Czy słyszysz? — Wiem, że nie zaznasz już spokoju... Ledwo oddychasz w ciszy. Czemu za drzwiami światło zgasło? I cóż cię trwoży? Przychodzę na znajome hasło, Stukam — otworzyć! Wiem, że gorączka twarz ci parzy, O, druhu buntowniczy! Ja wszystko jedno drzwi wyważę I skargi twe policzę. Nie lękaj się wspominać o mnie: Byłeś tak młody... Tyś na białego wskoczył konia, W twarz ci jesienne biły chłody. Tyś pocwałował gołoledzią W zachodu bursztyn lity! O, lekkomyślny, zaliś wiedział, Jak wrócisz tu rozbity? Dzisiaj zmądrzałeś: bądźże szczerszy — Cóż ci po sporze? A czy pamiętasz miłość pierwszą I zorze, zorze, zorze? Czemu policzki w łzach ci mokną I spuszczasz twarz tak nisko? Pociesz się — wicher tam za oknem To trąby śmierci bliskiej. Odpowiedz jeszcze na pytanie: Czyś z życia dumny? Królewski zaraz dar dostaniesz: Całun na trumnę".

Jeśli Lermontowa porównać można do granitowego „Uciosu", „roniącego łzy samotnie", Fieta do niebosiężnego szczytu „na krawędzi świata", którego zadaniem ludzi „ciągnąć wwyż", a Błoka do mistycznej Golgoty lodowej z rozpiętym na krzyżu mesjanistą, co czeka przybicia Chrystusowej łodzi — to *Sergjusz Jesienin* jest zieloną trawą i wzorzystem kwieciem porosłą kopą, na której ten franciszkański chuligan wypasa swoje trzody. Cechuje go ukochanie życia, zwierzęce wprost upajanie się rozkoszą istnienia: „I na ziemi tej, na ziemi twardej — Tem, że żyłem byłem ja szczęśliwy. Żem całował usta, co najsłodsze, Deptał kwiaty, w trawie łąk się tarzał I żem zwierząt niby braci młodszych nigdy, nigdy bić się nie odważał". Głęboki sentyment dla tych „braci młodszych" pozwala poecie wczuć się w ostatnie chwile konającego od kuli lisa, w rozpacz suki, której potopiono szczenięta, w cierpienia krowy, prowadzonej na rzeź. Umiłowanie wsi ojczystej i nieskomplikowanego życia chłopskiego prowadzi do takiej apologji ubóstwa i prostoty: „Szczęśliw, kto w życiu nie unika Kija włóczęgi, sakwy lichej. Szczęśliw radością swą ubogą, Kto bez przyjaciół i bez wrogów Przejdzie przez wiejską polną drogę, Do kopic modląc się i stogów". Ale miłości życia we wszelkich jego przejawach, jak echo dalekie, nieraz w tych samych życiu radych wierszach, towarzyszy, jak wtór niemilknący metafizyczna tęsknota do śmierci: „Tylko gościem jestem, ziemio, Krótkim gościem twoich gór" — „Ja przyszedłem na tę ziemię, by czem prędzej ją porzucić". A umiłowanie życia i ziemi to przedewszystkiem ukochanie „szóstej części świata, o króciutkiem imienu — Ruś". Chuligan — oto miano, którem się lubił Jesienin określać. Wkładał w nie swój niepohamowany pęd do życia, całą radość istnienia, energję i bujność sił żywotnych, rwących się do wyładowania. Miłość do kobiety znalazła większe odbicie w ostatnich latach jego życia. Ale dała mu więcej goryczy i rozczarowania, niż zadowolenia i radości: „Nie wiedziałem, że miłość—zaraza, Nie wiedziałem, że miłość to dżuma, — Przymrużyła swe oczy, odrazu Pozbawiła szaleńca rozumu". I miłość właśnie i trudność przystosowania się do nowych warunków życia, do których poeta czuł sympatję, stwierdzając jednocześnie, że „w przeszłości pozostał jedną nogą" — oraz stargane alkoholem i kokainą nerwy doprowadziły go do tragicznego końca.

Jakiemuż szczytowi przyrównać największego piewcę Rosji Sowieckiej *Włodzimierza Majakowskiego?* A może, gdy się o nim mówi, złożyć należy to porównanie do lamusa tych romantycznych rekwizytów, przeciw którym tak pomstował poeta? Niechżeż będzie więc to olbrzymia wieża stacji radjowej, czołem sięgającej chmur, gigantyczny megafon rewolucji, obwieszczający swoje poetyckie: „Wsiem, wsiem, wsiem".

Majakowskij rozpoczyna swą działalność poetycką jeszcze przed wojną utworami, które uderzały już swoją nowością przez śmiałość środków ekspresji, obliczonych jednak głównie na epatowanie mieszczaństwa. Nowator to formy, ale jeszcze nie trybun ludowy. Dopiero w poemacie „Obłok w spodniach" obok wylewów egotycznej miłości wystąpi zuchwałe wyzwanie. rzucone światu pieniądza i ucisku. Później powstanie poemat pacyfistyczny „Pokój i wojna", w którym autor przeciwstawi się okropnościom militaryzmu i patrjotycznej frazeologji poetów: „Cóż przyjdzie — tym co wrócili — ze współczucia okrzyków — cóż przyjdzie — z łzawych poetyckich pień?! — Myślą tylko o tem — jakby na parze patyków — przekusztykać, jak niebądź dzień". Z wybuchem rewolucji październikowej Majakowskij staje się bojowym piewcą nowej rzeczywistości rosyjskiej. Powstaje futurystyczna marsyljanka rewolucji bolszewickiej „Nasz marsz" i poetyckie dekrety, wzywające wszystkich artystów do zerwania z tradycją: „Ględzą ciągle nam starców brygady, Leją wciąż swych ględziarstw tusz. Towarzysze, na barykady, Na barykady serc i dusz!" — „Na ulicę, dobosze, poeci — w przyszłość ogromny skok". Majakowskij tworzy szereg obrazków satyrycznych, biczujących narowy mieszczańskie, pokutujące i w nowej biurokracji sowieckiej, liczne poematy, epopeę „150 miljonów" i utwór sceniczny „Misterjum — buffo". W związku z podróżą do Ameryki, ukaże się cały szereg nowych wierszy w sposób cięty, pełen gryzącej ironji przedstawiający kapitalistyczne Stany Zjednoczone. Ciekawy jest język Majakowskiego. Pełen skrótów, zniekształcających często uznaną składnię, nieoczekiwanych, oszałamiających porównań i przenośni, wzbogacony szeregiem wyrażeń ludowych, jest doskonałym wyrazem tej zwierzęcej wprost siły, jaka cechuje „herolda prawd, które jutro wszystkich połączą". Bo z wierszy Majakowskiego bije przedewszystkiem siła, brutalna siła zdrowego fizycznie człowieka, z nieugiętą wolą, konsekwentnie, przeprowadzającego swe plany. To też niespodzianką dla wszystkich był tragiczny koniec tego poety. Wprost trudno uwierzyć, że Majakowskij, który, potępiając samobójczą śmierć Jesienina, napisał w wierszu jemu poświęconym te mądre słowa: „z życiem skończyć nie jest nazbyt trudno, — życie tworzyć to trudniejsza rzecz", że poeta ten sam poszedł tą łatwiejszą drogą.

Od Lermontowa do Majakowskiego — rozpiętość stulecia. Na przestrzeni tego wieku wystrzeliły z gleby rosyjskiej i inne niebotyki. O wyborze tych właśnie — zadecydowały może głównie upodobania autora *).

Kazimierz Andrzej Jaworski.

*) Przytoczone cytaty i wiersze, przełożone przez autora niniejszego szkicu, wyjęte są z gotowej do druku antologji „Od Lermontowa do Pasternaka".

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKIJ

Ja i Napoleon

Mieszkam na Wielkiej Priesni
24, 36.
Miejsce cichutkie.
Spokojne.
Więc?
Zdawałoby się, co mi do tego,
że gdzieś
na świecie
wzięli — i wymyślili wojnę?

Noc przyszła.
Dobra.
Ostrożna.
Skądże panienki zwyczaj ten biorą,
aby odwracać tak trwożnie
ogromnych oczu reflektory?
Niebieski błękit tłumom szarym
wilgocią do ust płonących się zbliża,
a miasto, prężąc ręce — sztandary,
modli się krwawą czerwienią krzyża.
Prosta cerkiew, jak łzami napęczniały worek,
w ramionach skweru wypłakuje ból —
a na skwerze krwią spłynęły klomby chore,
jak serce poszarpane paluchami kul.

Mózg czerstwiejący pożera
trwoga spęczniała tłuszczem.
Już blady gaz w kwitnących oranżerjach
płatki kwiatów obrywa i łuszczy.
Powiedzcie Moskwie —
niech się nie trzęsie!
nie trzeba!
niech drżące powstrzyma serce!
Za chwilę
spotkam
władykę nieba —
wstanę i słońce uśmiercę!
Widzicie!
w niebie sztandary płucze.
To on!
Rozwala się wszerz.
Wjeżdża, kopytem na placu hucząc,
po trupach dachów i wież!

Tobie,
co wrzeszczysz —
„rozwalę,
rozkruszę!"
i mroczną noc ostrzami gzymsów ranisz,
ja —
którym posiadł nieulękłą duszę,
rzucam wyzwanie!

Chodź tu, czeredo bratnia,
stos niech zapali się w licach!
Wszystko jedno!
To dla nas słońce ostatnie —
słońce Austerlitzu!
Po napoleońsku krzyżuję dziś ręce;
chodźcie szaleńcy z wszystkich stron!
Jam wódz, a nawet więcej.
Popatrzcie —
ja i — on!
On raz ku dżumie zbliżył się tronem,
z pod śmierci wydarł się prawo, —
ja codzień daję siebie zadżumionym
w każdej z rosyjskich Jaff!
On raz bez lęku stanął w polu
wśród kul gwiżdżących, jak roje os,
a ja codziennie pod swem Arcole
idę odważnie przez most!
Mój krzyk przez granit czasu się przebił,
wciąż będzie grzmieć w pośród was,
bo wznosi się
w sercu, spalonem, jak Egipt,
twardych piramid głaz.

Za mną, czeredo bratnia!
Wyżej!
Jak stos, płoną lica!
Witaj,
moje słońce ostatnie,
słońce Austerlitzu!

Ludzie!
Dosyć!
Na słońce!
Prosto!
Skurczy się słońca twarz!
Z kościoła zwartych ust się wydostał,
chrypi żałobny marsz!
Ludzie!
Gdy bohaterów dostojnych
opłakujecie
boleśnie —
wiedzcie:
jeszcze jednego zabiła wojna —
poetę z Wielkiej Priesni!

Tł. Józef Łobodowski.

SIERGIEJ JESIENIN

Do Klujewa

Miłość ma weszła w inny dzień.
Ach, wiem, tęsknocie ciągle służysz
że miotła księżycowych lśnień
nie rozpluskała słów kałuży.
I w smutku gwiazdom jesteś rad
opadającym z nieba pował.
Tyś pieścił pieśnią serca chat,
lecz w sercu domu nie zbudował.
Ten, kogoś czekał, w ciemną noc
przeszedł i głowy nie odwracał.
Pocóż słów twoich brzmiała moc
i pocoś klucze swe wyzłacał?
Nie zalśni w pieśni słońca pył,
nie ujrzysz z okna szczęścia raju.
Tak młyn, skrzydłami wywijając,
odlecieć z ziemi nie ma sił.

Przełożył Józef Łobodowski.

Korespondencje należy kierować od dn. 1 lipca do 15 września na adres: Jerzy Braun — Krosno — raf. nafty — Małopolska.

Rozmyślania

(Wstęp do Wrońskiego, specjalnie do jego filozofji psychologji)

57. — Powiedzieliśmy, że Czucie i Umysł, to elementy powszechne psychologji. Ciekawą będzie rzeczą rozpoznać, jak biegunowo różnemi sposobami została powszechność osiągnięta w pierwszym a w drugim z tych dwu elementów.

Dlaczego Czucie jest elementem — *powszechnym*—bytem Psychologji? Dlatego że tu, wskutek połączenia z wiednością, nieskończona mnogość rozproszonych bytów indywidualnych, t. j. wyobrażeń, zostaje odniesiona do jednego konkretnego podmiotu. Dzięki Czuciu, podmiot jakby ściąga do siebie mnogość wyobrażeń, tem samem zakładając pomiędzy niemi rodzaj jedni.

Dlaczego Umysł jest elementem — *powszechną*—wiedzą Psychologji? Dlatego, że tu, wskutek połączenia z wiednością a zatem i z Wiedzą wogóle, świadomość wychodzi ze swego — niezgodnego z naturą wiedzy — odosobnienia i nawiązuje się do Wiedzy Powszechnej. Dzięki Umysłowi istnienie podmiotu jednostkowego zostaje niejako włączone w powszechność wiedzy.

Czucie — to władza, dzięki której moja wiedność wchodzi w stosunki z zewnętrznością bytów, stanowiąc zarazem jakby wspólny punkt zborny dla rozpierzchłych wyobrażeń, które się w ten sposób poniekąd u n i w e r s a l i z u j ą. Jasna rzecz, że gdybym doszczętnie był pozbawiony wszelkiego czucia, nie mógłbym się doznawać jako odrębna jednostka wpośród świata fizycznego. — Umysł — to władza, dzięki której moja świadomość wchodzi w stosunki z powszechnością wiedzy, zarazem jednak stanowiąc wśród tego morza nieoznaczonej powszechności jakby już pewną wysepkę odrębną, a więc i n d y w i d u a l n ą. Jasna rzecz, że bez umysłu nie mógłbym uczestniczyć w świecie wiednym.

58. — Wskutek zerwania łączności z EN (wiednością), świadomość i wyobrażenia są od siebie odgrodzone radykalnie. Inaczej ma się rzecz z dwoma el. powszechnemi. Ponieważ każdy z nich jest odnośnie połączony z EN, więc powstają jakby mosty, wiodące od czucia poprzez wiedność do umysłu, i od umysłu poprzez wiedność do czucia. Widzimy tedy już a priori konieczność jakichś dalszych dwu elementów, z których jeden będzie przejściem od EPB (elementu -powszechnego bytu) do EPW (elementu — powszechnej-wiedzy), drugi zaś odwrotnem przejściem od EPW do EPB. Zachodzą one w k a ż d y m systemacie rzeczywistości; Wroński nazwał je: element—przejściowy-byt (EpB) i element—przejściowy-wiedza (EpW). W rozważanym tu systemacie Psychologji, elementom tym odpowiada zbliżenie się czucia do umysłu, i vice-versa. Zbliżenie takie jest możliwe tylko przez wzajemne u p o d o b n i e n i e; czyli, że każdy z elementów powszechnych, pozostając ściśle odgraniczonym od drugiego, usiłuje niejako przejąć na siebie zastępczo — o ile to się da pogodzić z jego naturą — charakterystyczne funkcje elementu przeciwnego.

EpB i EpW dążą tedy do ponownej neutralizacji, jak to miało miejsce w EN. Że jednak wynikiem tej dążności będzie tym razem neutralizacja nie poprostu składników biegunowych, ale składników ogromnie wzbogaconych, jakiemi są EPB i EPW, więc ta neutralizacja s y s t e m a t y c z n a, ta tożsamość k o ń c o w a, ta *Jednakość Wieńcząca* (XXIII) będzie czemś nierównie pełniejszem od neutralizacji e l e m e n t a r n e j, tożsamości p i e r w o t n e j, zawartej w EN. Lecz o tem niżej.

59. — Zajmijmy się najpierw EpW Psychologji. — Umysł, jako powstały z kombinacji świadomości z wiednością, mieści się całkowicie po stronie Wiedzy i podmiotowości. Rzecz prosta, że w rzeczywistości konkretnej, jaką jest psychologja istoty psychofizycznej, postawa taka utrzymać się nie da. Umysł musi dążyć do zetknięcia się z zewnętrznym światem bytów, czyli upodobnić się do czucia, będącego właśnież władzą, która ten kontakt umożliwia. — Zaznaczam, że narazie obchodzi nas nie ostateczny wynik utożsamienia się umysłu z czuciem, lecz EpW, t. j. niejako samaż funkcja upodobniania się pierwszego do drugiego. A zatem w szukanym EpW, umysł nie styka się jeszcze f a k t y c z n i e ze światem zewnętrznym, tylko usiłuje w ł a s n e m i środkami jakoś zastąpić braknące byty, czyli, tu, wyobrażenia. Tą nową władzą jest: treściowo — *wyobraźnia wytwórcza*, formalnie — *schemat*.

Mieści się tutaj *konstrukcja* i *fantazja*, co chyba nie wymaga komentarzy.

Jakoż istotnie. Gdybyśmy posiadali umysł i czucie, ale żadnej władzy przejściowej od pierwszego do drugiego, mielibyśmy z jednej strony doznanie faktów bytowych, z drugiej pojmowanie związków wiednych, wskutek wszakże braku wszelkiej między niemi koordynacji, i to i tamto byłoby niejako zawieszone w próżni.

60. — Zkolei zajmijmy się EpB. — Dzięki czuciu, rozproszone wyobrażenia zostały wprawdzie wprowadzone do wiedności, ale p o m i ę d z y sobą są one nadal niczem nie spojone, *bez żadnej ciągłości*. Plastycznie można to przedstawić tak: wiedność = środek; wyobrażenia = mnóstwo punktów w równej od środka odległości; czucie = promienie, łączące każdy z tych punktów z o s o b n a ze środkiem. Jasne jest, że w ten sposób nigdy nie powstanie spoisty obwód koła. *Ciągłość* może wprowadzić jedynie wiedza, co jest nawet charakterystyczną jej funkcją względem bytu wogóle. Specjalnie w psychologji, tą władzą, wprowadzającą ciągłość i powszechność, jest umysł, jako kombinacja wiedności ze świadomością. Czucie musi więc dążyć do zetknięcia się z nim, przedwstępnie zaś — przynajmniej upodobnić się do niego, w ten sposób stając się właśnie szukanym EpB.

Jakoż istotnie. Wyobraźmy sobie, że posiadamy czucie i umysł, ale żadnej władzy przejściowej od pierwszego do drugiego. Wówczas z chwilą, gdy dany przedmiot przestaje działać bezpośrednio na me czucie, odnośne wyobrażenie znika natychmiast z mej wiedności: wyobrażenie stołu mam tylko w chwili patrzenia na stół: t t. p. Rzecz prosta, że w ten sposób żadna syntetyczna znajomość świata powstać nie może. Zatem bierne czucie musi niejako naśladować czynny umysł. Stąd nowa władza, będąca właśnie szukanym EpB, a mianowicie: treściowo — *wyobraźnia odtwórcza*, formalnie — *obraz*. Tu się mieszczą:

Gdy chodzi o wyobrażenia, już wprowadzone do wiedności, lecz w danej chwili nie działające na czucie bezpośrednio: *pamięć*. Dzięki niej mogę np. wyobrażenie stołu wogóle, istniejące już w mej wiedności, zastosować do danego indywidualnego sprzętu, który widzę po raz pierwszy. — Gdy chodzi o dwa wyobrażenia, pozostające w pewnym związku, ale z których t e r a z pierwsze tylko działa, na moje czucie: *przewidywanie*. Dzięki niemu, widząc błyskawicę, mam wyobrażenie grzmotu, którego jeszcze nie słyszę.

XIX. CZĘŚĆ ELEMENTARNA A CZĘŚĆ SYSTEMATYCZNA.

61. — Tak więc mamy już wszystkie 7 składników, których zespół stanowi *część elementarną* w każdym systemacie rzeczywistości. Jakeśmy widzieli, w systemacie Psychologji składnikom tym odpowiadają nast. władze:

EN: WIEDNOŚĆ.
Elementy biegunowe:
EB: WYOBRAŻENIE.
EW: ŚWIADOMOŚĆ.
Elementy powszechne:
EPB: CZUCIE.
EPW: UMYSŁ.
Elementy przejściowe:
WYOBRAŹNIA:
EpB: WYOBRAŹNIA ODTWÓRCZA
(Pamięć i Przewidywanie).
EpW: WYOBRAŹNIA WYTWÓRCZA
(Konstrukcja i Fantazja).
Forma Wiedności: UWAGA (PRZYTOMNOŚĆ?).
„ Wyobrażenia: ZEWNĘTRZNOŚĆ.
„ Świadomości: WEWNĘTRZNOŚĆ.
„ Czucia: INTUICJA.
„ Umysłu: POJĘCIE.
„ Wyobraźni:
a) Odtwórczej: OBRAZ.
b) Wytwórczej: SCHEMAT.

62. — Dlaczego rozpatrzone władze psychologiczne są *elementarne?* Bo w żadnej z nich nie zachodzi bezpośrednia łączność obu składników biegunowych, t. j. Bytu i Wiedzy, bez czego, jak wiemy, niema konkretnej rzeczywistości. Wprawdzie EN niejako zawiera Byt i Wiedzę, ale w stanie zneutralizowanym, aż do utraty wszelkiej biegunowości: jest to jakby zarodek, z którego ma się dopiero rozwinąć rzeczywistość; inaczej nie potrzebowałby, jak to się owszem dzieje, polaryzować się na elementy. Jakoż łatwo stwierdzić i a posteriori, że w swej zupełnej czystości, żadna z wymienionych władz nie może ostać się inaczej niż przez abstrakcję, t. j. przez myślowe wyodrębnienie dla wygody analizy — przyczem badacz musi jednak trzymać resztę władz niejako w odwodzie, w tymczasowem tylko zawieszeniu.

A zatem konkretne, więc już *systematyczne*, władze psychologiczne powstają dopiero przez współudział o b u elementarnych władz biegunowych, t. j. Wyobrażenia i Świadomości. Ten zaś współudział, stanowiący przedmiot *części systematycznej*, którą się zajmiemy w następnych czterech rozdziałach, może się iścić na 4 sposoby, a mianowicie, jako:

1) Przewaga Wiedzy nad Bytem, czyli Świadomości nad Wyobrażeniem: wpływ częściowy Bytu do Wiedzy: skrót: Byt w Wiedzy (BwW).

2) Przewaga Bytu nad Wiedzą, czyli Wyobrażenia nad świadomością; wpływ częściowy Wiedzy do Bytu: skrót: Wiedza w Bycie (WwB).

3) Równowaga, wpływ wzajemny Bytu i Wiedzy, czyli ich harmonja, bez ich utożsamienia; zbieg celowy (ZC).

4) Tożsamość końcowa obu el. powszechnych, czyli Czucia i Umysłu, jako systematyczne odtworzenie stanowiącej EN tożsamości pierwotnej i elementarnej obu składników biegunowych; jednakość, wieńcząca cały systemat (JW).

XX. UCZUCIE.

63. — Ponieważ czucie łączy się zarówno z wyobrażeniem jak i z wiednością, a Umysł zarówno z wiednością jak i ze świadomością, więc ostatecznie wyobrażenie może trafić aż do świadomości, wytwarzając w ten sposób jakąś władzę systematyczną, której konieczność, pod mianem BwW, uznaliśmy wyżej (62). Etapy pośrednie, odbyte przez wyobrażenie w drodze do świadomości, nie nas obecnie nie obchodzą; dla dokładności analizy, zajmiemy się wyłącznie rezultatem końcowym, t. zn. w p ł y w e m c z ę ś c i o w y m w y o b r a ż e n i a d o ś w i a d o m o ś c i, zupełnie abstrahując od innych elementów, które w tym k o ń c o w y m rezultacie nie są wszak zawarte.

64. — Doniosłe zastrzeżenie: Gdy weźmiemy Rozum w jego bezwzględnej wewnętrzności, wówczas jego EB—em będzie *Uczucie*, w którem mamy bezpośredni zjaw autotezji i bez którego Rozum w żaden sposób nie mógłby uchwycić indywidualnego faktu swego własnego podmiotowego istnienia, czyli bytu: jego zaś EW—ą będzie *Poznanie*, które w tych strefach achrematycznych jest równoznaczne z wytwarzaniem czyli autotezją rzeczywistości, i bez którego Rozum nie mógłby czynnie uczestniczyć w powszechności wiedzy.

Natomiast Psychologja — to zespół władz, zapomocą których poszczególny człowiek wchodzi w stosunki nietylko z własnem indywidualnem istnieniem, ale też z innemi istotami i ze światem zewnętrznym wogóle. Tu więc rola Poznania i Uczucia musi być odmienna: właśnie Poznanie będzie r a c z e j (nie a b s o l u t n i e) bierne, stanowiąc jakby zwierciadło, w którem się odbijają przedmioty względem mnie zewnętrzne; i właśnie Uczucie będzie r a c z e j (nie a b s o l u t n i e) czynne, niejako włączając do mego podmiotowego istnienia — wyobrażenia zewnętrzne: o czem też wnet będzie mowa.

65. — Świadomość — to wiedność jaźni (XVI). Przy omawianym tu wpływie wyobrażenia do świadomości, sprawcą syntezy jest oczywiście ta druga, gdyż pierwsze, wskutek swej bytowej natury, jest bezwładne. A czyni to ona, nie wychodząc z własnej dziedziny, którą jest wyłączna podmiotowość; gdyby z niej bowiem wyszła, udając się w dziedzinę wyobrażenia, mielibyśmy WwB (XXI) lub, w pół drogi, ZC (XXII), a nie BwW.

Tym BwW Psychologji jest *Uczucie* *).

Moja reakcja na me własne istnienie jest zupełnie specyficzna i z niczem nieporównalna; a mowa tu nie o sumie wrażeń zmysłowych, dającej mi poczucie życia cielesnego, lecz o tym akcie, przez który wiedza bezpośrednio w i e siebie jako istniejącą, t. j. jako podmiot. Gdy zaś nietylko w i e, ale ponadto w i e ż e w i e, wówczas mamy *świadomość*.

Uczucie powstaje wtedy, gdy świadomość nie poprostu odbija w sobie jakieś wyobrażenie, pozostając względem niego zewnętrzną, ale gdy je wklucza w swoją wewnętrzność, dając mu miejsce w swem istnieniu i reagując nań tak, jak dotąd reagowała tylko na własny podmiot.

Gdy wyobrażenie zostało „wpuszczone" dobrowolnie, ponieważ wypełnia ono jakiś brak we mnie, wzbogaca mię, wzmaga stopień mej rzeczywistości; gdy, słowem, godzę się na jego pozostanie w mej świadomości, — powstaje uczucie przyjemne (sympatja, przyjaźń, miłość, uwielbienie i t. d.).

Gdy wyobrażenie „wdziera się" niejako przemocą, naruszając ustaloną równowagę; gdy staram się je wyprzeć, ileże obniża stopień mej rzeczywistości **), — powstaje uczucie przykre (niechęć, wstręt, gniew, oburzenie i t. d.).

Gdy nie odrazu się orjentuję, czy przyjęcie danego wyobrażenia będzie korzystne czy szkodliwe, — powstają uczucia pośrednie (zdziwienie, ciekawość i t. d.).

W szczegółowszy rozbiór uczuć nie możemy się tu wdawać.

66. — Nawet we wrażeniach czysto zmysłowych, trzeba ściśle odróżniać czucie od uczucia. Pierwsze informuje mię przedmiotowo o świecie zewnętrznym, drugie wartościuje podmiotowo. Więc np. powonienie powiadamia mię o woni jakiejś, dajmy na to, strawy; gdym głodny, do wiadomości tej dołączy się uczucie przyjemne, gdy przesycony — przykre.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

*) Jako formę Uczucia podaje Wroński *apprehensję*, jako formę Poznania — *apercepcję*: p. Jankowski tłumaczy to przez: *postrzeganie* i *ujęcie*. Trzeba wyznać, że wszystkie te słowa niewiele wyjaśniają, gdyż nawet w obszernym słowniku filozoficznym Lalande'a mamy pod Appréhension i Aperception definicje tak wieloznaczne i mętne, że trudno z nich korzystać.

**) Cf. aforyzm Spinozy: „Wszelki smutek jest uszczupleniem jaźni".

Norwidiana

W zeszycie II „*Grafiki*" (czerwiec 1933) zamieścił Miriam szereg reprodukcyj prac Norwida „rodzaj antologji artystycznej, charakteryzującej główne linje twórczości wielkiego poety, jako rzeźbiarza, malarza, rysownika i grafika". Na 63 umieszczonych reprodukcyj — 53 jest „nowością zupełną".

Opublikowanie tej skromnej przynajmniej części zbiorów prac Norwida, które znajdują się w ręku Miriama — jest rzeczą nader pożyteczną. I jeżeli Miriam nie będzie już zwlekał z wydaniem dalszych tomów Norwida (B, D i G, o których wspomina w krótkim artykule wstępnym w „Grafice") — to ustaną wreszcie utyskiwania tych wszystkich, którzy pragną „by żyjące obecnie pokolenie doczekało się jeszcze możliwości zbogacenia się całością dorobku literackiego wielkiego samotnika".

Oto co pisze w tej sprawie *Jan N. Miller* („Robotnik" 18.II. b. r.):

„Pięćdziesięciolecie śmierci Norwida skłoniło wreszcie Miriama do ogłoszenia wyboru poezyj Norwida. Dość długo, przyznać trzeba, każe czekać Miriam na ogłoszenie dalszych tomów „Pism zebranych"... Zenon Przesmycki, który tak olbrzymie zasługi położył dokoła ocalenia i zgromadzenia dorobku literackiego Norwida... zrobił następnie wszystko, co mógł, by rozniecone zainteresowanie zdusić i zdławić — przez milczący sabotaż ciążącego na nim obowiązku ujawnienia i opublikowania znajdujących się w jego posiadaniu druków i manuskryptów".

Sprawa wydania dalszych tomów „Pism zebranych" jest tembardziej piekąca — że, jak słusznie zauważył Miller „w chwili obecnej znajdujemy się znowu pod znakiem renesansu Norwida" i „zapotrzebowanie" na poezję wielkiego twórcy stale wzrasta.

Wśród nowych książek

Książka o Norwidzie. Nakładem Gebethnera i Wolffa, ukazała się „opowieść biograficzna" o wielkim poecie. Autorem jej jest Z. Falkowski. Krytyk ten ma już w swym dorobku pracę o Norwidzie. Jest nią „Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida" (Wilno 1933). Książka wydana starannie — w tekście szereg norwidowskich rysunków.

„Dusza w mroku" H. Daniel-Ropsa, ukazała się w polskim przekładzie (Gebethner i Wolff). Autor jest jednym z wybitnych pisarzy francuskiego młodego pokolenia.

Bibljografję dzieł Ariosta, wydał w Bolonji N. Zanichelli. Opracował ją G. Agnelli i G. Ravegnani. Tytuł: „Analli delle edizioni Arioste" (2 tomy — 700 stron).

Zbiór esseyów o hr. de Noailles pióra Claudela, Gide'a, Valery'ego, Prousta, Mauriac'a, Andrzeja Maurois i innych — ukazał się nakładem Bossueta w Paryżu.

Sprawie eksperymentalnej socjologji, poświęcona jest praca Pawła Descamps („La sociologie expérimentale"), wydana nakł. M. Riviera w Paryżu.

„Alfred de Vigny. Nouvelle contribution à sa biographie intellectuelle".

Savonaroli: „Prediche italiane ai fiorentini. A cura di R. Palmarocchi. III vol. Quaresimale del 1496" — ukazały się w bibljofilskim wydaniu w nakładzie „La Nuova Italia" we Florencji.

Symbolizm II części Fausta jest tematem studjum Torau-Bayle'go. Tytuł: „Le symbolisme du seconde Faust de Goethe".

W zbiorze „Mistrze myśli religijnej" ukazała się praca Gilberta Maire o Jamesie p. t. „William James et le pragmatisme religieux". (Nakład Denoel i Steele w Paryżu.

Historja papieży, opracowana przez dwu uczonych dr. Seppelta i dr. Löfflera, ukazała się nakł. Kössla w Monachjum. Tom 1-szy poświęcony jest historji papieży do rewolucji francuskiej, — 2-gi od rewolucji do dziś. Praca oparta na licznych źródłach historycznych, zaopatrzona chronologicznym spisem papieży i wielką ilością ilustracyj — jest dość przejrzystym obrazem historji kościoła.

Książki i czasopisma

H. Daniel-Rops: Dusza w mroku. Powieść. Warszawa 1933. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 432.

Zygmunt Falkowski: Cyprjan Norwid. Portret ogólny. Słowo wstępne Stanisława Pigonia. Warszawa 1933. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 254.

Wacław Berent: Pisma tom II. *Żywe kamienie* t. I. Warszawa 1933. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 152.

Wacław Berent: Pisma tom VII. *Żywe kamienie*, t. II. Warszawa 1933. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 188.

Adama Mickiewicza Dzieła wszystkie. Zebrane i opracowane staraniem Komitetu redakcyjnego, tom V. *Pisma prozaiczne polskie. Część I.* Warszawa 1933. Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 472.

Adama Mickiewicza Dzieła wszystkie. Tom XI. *Przemówienia.* Warszawa 1933. Str. 54.

Adama Mickiewicza Dzieła wszystkie. Tom XVI. *Rozmowy.* Warszawa 1933. Str. 560.

Ruch pedagogiczny (czerwiec 1933): M. Odrzywolski: Główne założenia bihewjoryzmu; J. Pieter: Filozoficzne zainteresowania młodzieży (c. d.); H. Rowid: Analiza współczesnych metod nauczania (c. d.); Edm. Semil: Myśl pedagogiczna zagranicą.

Biuletyn Polsko-Ukraiński (Tygodnik ilustr. r. II nr. 7): Od redakcji; W. Bączkowski: Element prowokacji w stosunkach Polsko - Ukraińskich; Święto Iwana Franki; Wywiad z prezesem Nauk. Tow. im. Szewczenki we Lwowie dr. Włodz. Lewickim; Kronika Z. S. S. R.

Kafkazja Daglilari (Les montagnards du Caucase) maj 1933. Nr. 39.

Pracę o Alfredzie de Vigny opublikował F. Baldensperger. Studjum nosi tytuł:

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Dobra 59, I p. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Dobra 59, I p. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BIUSZCZ", Warszawa, Solec 87.